

IVANA ŠOJAT



Unterstadt

Biblioteka
SŁOW

IVANA ŠOJAT

Unterstadt

Przełożył z języka chorwackiego Siniša Kasumović

Biblioteka
M.S.Ł.O.W.

Tytuł oryginału: *Unterstadt*

Copyright © Ivana Šojat and Fraktura 2010

All rights are represented by Fraktura, Croatia

Copyright © Siniša Kasumović, 2023

Copyright © Biblioteka Analiz, 2023

Wydanie pierwsze

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody wydawcy jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Redakcja: Ewa Tenderenda-Ozóg

Korekta: Dream Team

Projekt okładki: Poziomka Studio Emilia Piechowicz

Opracowanie graficzne i skład: TYPO 2 Jolanta Ugorowska

Druk: Totem.com.pl

Warszawa, 2023

ISBN 978-83-963095-4-9



Książka została wydana przy wsparciu finansowym Ministerstwa
Kultury Republiki Chorwacji

Knjiga je objavljena uz financijsku potporu Ministarstva kulture
Republike Hrvatske

The book was published with the financial support of the
Ministry of Culture of the Republic of Croatia

Wydawca:

Biblioteka Analiz

ul. Mazowiecka 6/8

00-048 Warszawa

tel. 22 828 36 31

Biblioteka-slow.pl

Facebook.com/bibliotekaanaliz

Facebook.com/WydawnictwoBibliotekaSlow

Nie wiem, dlaczego w tamten piątek po powrocie z pracy do domu zaczęłam się naprędce pakować, wrzucając odzież, która mi wpadła do ręki, do tej zakurzonej walizki na kółkach, stojącej pod parapetem jeszcze od czasu ostatniej podróży do Wiednia. Nie wiem, dlaczego w końcu zdecydowałam się wsiąść do tego pociągu, który od lat, zawsze o godzinie siedemnastej pięć, odjeżdża z Zagrzebia do Osijeku z pierwszego peronu. Tylko godzinę, półtorej wcześniej grubaśnemu i puchatemu aniołkowi z pewnego kościoła w Zagorju sklejałam odpadającą, cieniutką złotą skórę, która się wszędzie łuszczyła, odsłaniając drewnianą podstawę, przypominającą zaszuszone mięśnie mumii. Gdy tak pieściłam jego okrągłą, tłustą pupę, ani na chwilę nie pomyślałam o mamie, tym bardziej o Osijeku. Naprawdę nie wiem, dlaczego to w końcu zrobiłam. Tak samo jak nie wiedziałam, dlaczego jakieś dziesięć lat temu połknęłam garść tabletek nasennych. Pamiętam łagodnego i spokojnego, zniewieściałego doktora Risjaka, który jak malutkiemu i szalonemu dziecku patrzył mi w oczy i powtarzał, abym się przed nim otworzyła i powiedziała, co mi dolega. *Nic mi nie jest*, powtarzałam, odwracając od niego głowę. Czułam, że strasznie mi śmierdzi z buzi, więc nie chciałam mu dyszeć

w twarz. Było mi wstyd i miałam ochotę krzyknąć: *Nie wyplukaliście mi porządnie żołądka!* A on uporczywie mi się przyglądał, jakby ten jego duży nos był pozbawiony zmysłu węchu, i powtarzał, że „nic” nie może popchnąć człowieka do odejścia, kiedy wiadomo, że powrotu nie ma. W końcu spojrzałam mu w oczy i powiedziałam: *Nudziłam się.*

Ale tego piątku się nie nudziłam. Zamiast biec na pociąg, mogłam zasiąść przy biurku do rysowania, cały weekend zacząć ołówkiem po papierze, lub wziąć jakąś książkę i spędzić trzy dni w poziomie, pozamykać okna, włączyć wentylator i nie słuchać świata, zamknąć się w sobie jak w wielkim kartonowym pudełku.

Nie wiem, dlaczego wsiadłam do tego pociągu. Nie wierzę w zjawiska paranormalne, choć jakiś czas temu naprawdę bałam się duchów, które odwiedzały babcię w jej pokoiku prawie rok przed jej śmiercią. Jednak to nie było tak, że przeczułam cokolwiek, że jakiś nieziemski głos szepnął mi do ucha, że mama umrze akurat wtedy, gdy będę siedziała w pociągu, gdzieś za Koprivnicą.

Mama rzeczywiście zmarła tego piątku, gdy siedziałam w dusznym przedziale pociągu, który cztery godziny turlał się z Zagrzebia do Osijeku. Siedziałam w przedziale, tyłek mi drętwiał, a na kolanach trzymałam krzyżówkę. Puste pola wypełniałam krzywymi literami, bo pociąg cały czas się trząsał. Lato tego 1999 roku zdecydowało się zaskoczyć wiosnę. Ręce mi się pociły, a długopis ześlizgiwał się między palcami. Od czasu do czasu spode łba zerkałam na starszego pana, który naprzeciwnie mnie przysypiał z głową opartą o brudną, żółtawą i bujającą się zasłonkę, zakrywającą mu co jakiś czas twarz. Usta miał otwarte, a w kącikach zbierała mu się ślina.

Był żółty, kościsty, miał tłuste, siwe i zaczesane do tyłu włosy. Pomyślałam o Breughlu i o tych biedakach porozrzucanych po jego obrazach. Pan wyglądał na biednego i śmierział. Dlatego podwijałam nogi pod siebie, aby mnie przypadkiem nie dotknął czubkami swoich sfatygowanych i chyba nigdy niepastowanych butów. Obok mnie, na sąsiednim siedzeniu, starsza pani cały czas wykrzywiła usta, a językiem bawiła się protezę, która wydawała szcękający odgłos. Od czasu do czasu zerkałam na nią kątem oka. Korciło mnie, aby jej powiedzieć: *Proszę pani, bardzo proszę przestać! Denerwuje mnie pani! Wyrwę pani tę protezę i wyrzucę ją przez okno!* Ale oczywiście nic nie powiedziałam. Tylko usta formowały mi się w prostą, sztywną linię. W pewnej chwili nasze oczy się spotkały. Boże! Pomyślałam, że skóra starych ludzi z czasem zaczyna przypominać papier pergaminowy. Spojrzałam w jej błękitne oczy. Starsza pani (później przedstawi się jako Marica) uśmiechnęła się do mnie. Jej oczy zabłyszczały i przez moment wyglądały, jakby były trzydzieści lat młodsze od reszty zgarbionego i pofałdowanego ciała. W jednym mgnieniu przyszły mi do głowy te wszystkie głupoty o zimnych, wyrachowanych, inteligentnych, niebieskich oczach. Babcia i mama miały niebieskie oczy, prawie w tym samym odcieniu, ale jednocześnie różniły się jak niebo i ziemia. Z oczu babci można było wszystko wyczytać. Smutek spowijał je szarymi zasłonkami, a gniew jakby odpalał jaskrawobłękitne żarówki. Jeżeli oczy są zwierciadłem duszy, to dusza babci, wiecznie podparta na łokciach, niczym wścibska kobieta, czuwała nad swoimi ciągle otwartymi oczami. W odróżnieniu od niej mama jakby nie miała duszy. Jej oczy były zawsze wodniste, tępo błękitne. Ten Bóg babci przesaadził z oczami mamy, stworzył im ciut za duże szpary, przez co sprawiały wrażenie wybałuszonych, obojętnych na wszystko.

Na chwilę zamknęłam oczy i w ciemności, pod zamkniętymi powiekami, ukazał mi się otępiały, lekko cielący wzrok mojej matki; na wszystko i wszystkich patrzyła bez wyrazu, niczym człowiek sprawdzający przez okno, czy należy zabrać parasolkę, czy nie, zauważający świat tylko wtedy, kiedy mu się ze sklepienia niebieskiego na głowę sączy deszcz.

Myśląc, że chcę rozpocząć rozmowę, babcia Marica przedstawiła mi się i zaczęła narzekać na upał, na suszę dewastującą jej ogródek w Retfali¹, mówiła o swoich wnukach z Zagrzebia i córce, która po studiach nie wróciła do domu, ale wyszła za mąż za jednego, a jakże, kulturalnego Agramera².

Stawałam się coraz bardziej nerwowa, ale nie ze względu na mamę. Nie wiedziałam, że umiera. Nic nie poczułam o dziewiętnastej dwadzieścia pięć. Absolutnie nic. A wtedy zmarła. Prawdę mówiąc, denerwowało mnie to podkreślanie: „przybyliście na prowincję, wracacie do niej”. To przeklęte, czterogodzinne tłuczenie się cuchnącym pociągami, zatrzymującym się *obok każdego żółtego domku*, jak mawiały babcie, który tak jakby chciał wam pokazać, jak bardzo daleko jesteście od wszystkiego.

Przypomniało mi się, kiedy w wieku niespełna dziewiętnastu lat wysiadłam z pociągu na głównym dworcu w Zagrzebiu i gdy przed sobą zobaczyłam rozległą odnogę Podkowy Lenuccio³, pomyślałam: *Boże, tu wszyscy widzą, że nie jestem stąd!* Było mi prawie wstyd, że rozciągam słowa jak gumę do żucia, że powoli włócę się ulicami, jakbym pełzła przez klejącą, zaoraną czarną ziemię. Później mi minęło. Zapomniałam o tym

¹ Retfala – dzielnica Osijeku (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

² Agram – stara austriacka nazwa Zagrzebia. Agramer to mieszkaniec Zagrzebia.

³ Podkowa Lenuccio (Lenucijeva Podkova) – kompleks siedmiu placów i reprezentatywnych budynków z połowy XIX wieku w samym centrum Zagrzebia, wybudowany na planie litery U.

pierwszym uczuciu, wrażeniu, że słowo „prowincja” mam wypisane na czole. Ale wtedy, w pociągu, wszystko to mi się przypomniało i zrobiłam się nerwowa. Nie, nie myślałam o mamie.

Byłam przekonana, że stara Jozefina wyolbrzymia sprawę w tym swoim liście skreślonym starczym, niepiśmiennym i kwiecistym charakterem. Mówię „starczym” i „niepiśmiennym”, bo starzy ludzie jakby z upływem czasu zapominają o interpunkcji, więc ich zdania bez kropek i przecinków przetaczają się jedno w drugie, stają się niezrozumiałe, chaotyczne, podobne do myśli starych ludzi. Uśmiełam się z tego jej listu, z tych słów różnego rozmiaru, przypominających garbate, młode kartofelki, i pomyślałam: *Mój Boże, chyba któregoś dnia nie stanę się taka jak ona*. Starzy ludzie przesadzają z uprzejmościami, jakby cały czas przepraszali, dlatego że już widzą siebie w trumnach, nie chcą, aby ktoś o nich mówił źle, kiedy ich już nie będzie, gdy będą żyć tylko w słowach wypowiedzianych przez żyjących. Gdy jakimś cudem zostaną w czyjejś pamięci. Gdy będzie ktoś, kto o nich nie zapomni.

Wyobrażałam sobie zgarbioną Frau Jozefinę z tym orlim nosem, zasuszoną i pomarszczoną, do której tata powiedział prawie dwadzieścia lat temu, przed śmiercią, że nas wszystkich przeżyje. Wszystkich nas pochowa. Żartował. Chociaż nie był już w stanie się śmiać, bo mu rak pożerał powietrze z płuc. Wyobrażałam ją sobie, jak męczy się z długopisem, wykrzywia usta, marszczy się, jak mnie tym listem chce przywołać, zmiękczyć, zwabić do domu, do mamy. Jak zadowolona kiwa głową, podobnie do pluszowego pieska na tylnej półce samochodu, i pisze to kwieciste, dla mnie egzaltowane: *Mateczka twoja umiera serce moje kochane droga moja Katarinko Kati*. Jak pisze tę lawinę słów bez przecinka, bez żadnej kropki. Wyobrażałam sobie, jak jej garbate palce na wszelkie możliwe

sposoby starają się złapać długopis, który ucieka, ślizga się, trzęsie i stawia na papierze śmieszne, nierówne litery. Zabawny jest, choć tragiczny, ten fakt, że w pociągu prawie w ogóle nie pomyślałam o mamie. Myślałam o Frau Jozefinie, o Frau Miłościwej, jak ojciec mówił do niej w żartach.

Gdy po dziewiątej wieczorem ze zdrętwiałym tyłkiem w końcu wysiadłam z pociągu, niebo było już czarne. Nie było gwiazd. Nade mną wszystko przypominało czarny, gęsty plusz, który, rozświetlony światłami ulicznymi, zabłysnął niczym futro czarnego, baskerville'owskiego psa. Powiało słodkawym zapachem młodego maja. Poczułam woń hiacyntów i na mojej twarzy pojawił się uśmiech. Przypomniała mi się babcia i jej hiacynty, niczym w procesji naćkane wzdłuż ścieżki z cegieł przed wejściem do domu. Uśmiechnęłam się nieświadomie, jakbym w oddali zobaczyła kogoś miłego i życzliwego, a nie dobrze znane mi miasto, które przywitało mnie hiacyntami. Wszystko wyglądało inaczej niż zapamiętałam. W pobliżu dworca nie było już sklepu samoobsługowego, w którym studenci i kibice piłkarscy kupowali piwa; potem w pociągach rzygali i wszczynali awantury. Choć w telewizji widziałam, jak płonie, trafiony chyba z katiuszy, jednak zaskoczyła mnie pustka, brak czegoś, co kiedyś tutaj było. Na chwilę się zatrzymałam, odstawiłam walizkę na ścieżkę ułożoną z cegieł i patrzyłam na tę pustkę. Wydaje mi się, że usta miałam lekko otwarte, minę zdziwioną i chyba na chwilę wstrzymałam oddech. Z kieszeni wyciągnęłam paczkę papierosów i jednego zapaliłam. Spowił mnie niebieskawy obłoczek, przez który już nie mogłam wyczuć miasta. Pomyślałam o babci Klarze: na pewno by mi wyrwała papierosa z ust, wyrzuciła go, zdeptała i powiedziała: *Kulturalne panienki nie palą!* Na pewno napomknęłyby coś o Grecie, czarnej

owcy z jej przyzwoitej rodziny, która gdzieś przed wojną zaczęła nosić spodnie i palić papierosy w fifce. Uśmiechnęłam się do babci, która dwadzieścia lat temu zapomniała oddychać i odeszła we śnie. Zdecydowałam, że pewnego dnia namaluję ją farbami olejnymi na płycie pilśniowej. Obraz musi być mocny i trwały, jak babcia – ona nawet w tych swoich haftowanych białych koszulach nocnych wyglądała, jakby ją ten jej Wszechmogący wyrzeźbił z granitu.

Najpierw pomyślałam, że ulicą Radićewą dotrę do przystanku tramwajowego i pojadę do Dolnego Miasta, ale wtedy zdałam sobie sprawę, że matka jest w szpitalu, że dom jest pusty, a ja nie mam klucza. Przypomniałam sobie, że gdy osiemnaście lat temu wyjeżdżałam do Zagrzebia, ona była w pracy, a ja w złości zostawiłam klucz pod wycieraczką. Ostentacyjnie chciałam jej pokazać, że wyjeżdżam, że na zawsze zatrzęsnęłam za sobą drzwi domu, który został pusty. Czysty, lecz pusty.

Dlatego udałam się na ulicę Divaltową, do domku w podwórku, gdzie Jozefina pisała garbate litery i zdania bez znaków interpunkcyjnych.

Dreptałam ciemną, nigdy porządnie nieoświetloną ulicą, ciągnącą się wzdłuż torów aż do ulicy Klajnowej. Pomyślałam: *Nic się nie zmieniło, nadal się boję tej ulicy.* Wojna przyszła i poszła, a tak naprawdę wszystko pozostało takie samo, miasto, niczym uparty starzec, wracało do starych nawyków. Ale potem zobaczyłam, że na niektórych ciemnych domach zamiast szyb nadal majątają źle przyklejone folie. Zapatrzyłam się w te wojenne blizny. Niektóre rodziny przekształciły się w dynastie i potężne rody, a niektóre, chyba niezaradne, nie mają pieniędzy, aby nawet po ośmiu latach zamienić folię na szyby. Widziałam blizny w kształcie gwiazd na fasadach nasączonych wilgocią nieba, które jesienią nie zna litości. Przez rozwalone

piwniczne okienka domy dmuchały na mnie pleśnią. Pomyślałam, że ktoś albo coś złapie mnie za nogę z tej głębokiej i zapleśniałej ciemności, więc przyspieszyłam. Prawie biegłam aż do ulicy Divalentowej.

Przez zbutwiałą, kiedyś chyba dostojną, drewnianą furtkę, teraz z tak zardzewiałymi zawiasami, że już nie dało się jej zamknąć, weszłam na wybrukowane podwórko, wspólne dla czterech czy pięciu rodzin. Nic się tu nie zmieniło w przeciągu lat – nadal było to skupisko małych skleconych byle jak domków otoczonych ogrodami kwiatowymi pełnymi róż, hiascyntów, stokrotek, kolorowymi rzeczami, którymi ludzie starają się zakamuflować biedę. Doprawdy, wszystko było takie samo – ciemność i dźwięki dobiegające z domów, trzeszczenie mebli i stukot naczyń zmywanych przez kogoś w misce. Na samym końcu tego mroku nabierało się w międzyczasie jeszcze więcej śmieci – cała góra pękniętych misek, desek sedesowych, poobijanych garnków, wykrzywionych rowerów i starych dziecięcych wózków, które dawno zapomniały, jakie było ich pierwotne zastosowanie. Uśmiechnęłam się do tej masy niepotrzebnych, dawno nieużywanych rzeczy, z których starzy ludzie, stojący na krawędzi życia, budują trójwymiarowe martwe natury i powtarzają: *Może nam się to jeszcze kiedyś przyda.*

Zatrzymałam się przed domem Jozefiny, spowitym w ciemnościach. Już pomyślałam, że gdzieś poszła, że wałęsa się po mroku, że na stare lata zwariowała, ale wtedy sobie przypomniałam, że to jedyne okno w swoim domu zawsze zasłaniała grubym, zielonym płótnem, aby ludzie nie zaglądali do środka, i że z oszczędności włączała tylko jedną żarówkę. Zastukałam, ale nikt mi nie otworzył. Nacisnęłam klamkę i drzwi same się uchyliły. Jakby je popchnął przeciąg lub ramię kogoś, tego nie widziałam. Cicho prześlizgnęłam się przez wąski

wiatrołap i weszłam do tego jedyne go pokoiku pełniącego jednocześnie funkcję kuchni i salonu. Obok lampy z mrożonego szkła w kształcie grzyba, w fotelu wyłożonym czarnym, sztywnym pokryciem siedziała zgarbiona Jozefina i gapiła się na ścianę. W Matkę Boską, którą, po śmierci babci Klary, wbrew mnie, mama jej podarowała. Stojąc w drzwiach pokoju, w ciemności, popatrzyłam najpierw na Jozefinę, sprowadzoną do znaku zapytania, a potem na obraz Bogurodzicy ze złożonymi rękami, ze wzrokiem utkwionym w dal. Przypomniało mi się, jak bardzo byłam wkurzona na mamę za to, że przeniosła ten obraz z naszego strychu do wilgotnego pokoju Jozefiny. Wtedy mi się wydawało, że mama próbuje jak najszybciej pozbyć się babci, że stara się ją wyrzucić na zawsze z domu, tak jak wyrzuca się wytarte i wysłużone meble, zamknąć w czymś, co jest poza moim zasięgiem, dokładnie tak jak i fotografie należące do babci, które powrzucała do pudełka kartonowego i gdzieś ukryła.

Zmarszczyłam brwi i poczułam, jak palą mnie policzki oraz jak gniew powraca niczym rozżarzony wiatr. Rozluźniłam rękę, którą naciskałam mosiężną klamkę, i klamka zaskrzypiała. Jozefina podskoczyła w fotelu i popatrzyła na mnie. Jej twarz była wilgotna, szklila się, oświetlona tym świecącym grzybkiem. Wyglądała, jakby wbiegła do domu, uciekając przed burzą, która ją dopadła na końcu podwórza.

– Dobry wieczór, Frau Jozefina – wyjąkałam jak małe dziecko.

– Katarina... – wybełkotała bezzębna Jozefina. Brzmiało to, jakby walczyła z ogromną kluską z kaszy manny, która jej utknęła w gardle i nie pozwalała oddychać.

– Co się stało? – bąknęłam głupio, wypuszczając oddech i odstawiając walizkę na podłogę.

Jozefina pociągała nosem, z kieszeni fartucha wyciągnęła chusteczkę. Zawsze mnie nurtowało, dlaczego Frau Miłościwa za każdym razem, gdy płacze, wyciera nos, a nie oczy. Dlatego wtedy wybuchłam śmiechem.

– Ma-ri-ja – gorzko szlochając, wysylabizowała imię mojej matki. – Mama... zmarła. Nie ma już mamy, Katarina!

Wyrzuciła z siebie ostatnie zdanie jak lawinę. Jakby zrzucała z siebie okowy. Patrzyłam na nią osłupiała. Wiem, że oczy miałam duże, ogromne. Przypomniały mi się te głupie hipiowskie filmy, w których w finałowej scenie wyswobodzeni protagoniści biegną nadzy na spotkanie z dzikim wiatrem, rozkładają ręce i krzyczą. Tak jakby byli wolni. Jakby nagość i wrzaski w końcu ich wyzwoliły i uszczęśliwiły. Jozefina była zdenerwowana, a ja tylko zapytałam:

– Kiedy zmarła?

Popatrzyła na mnie skonsternowana. Spodziewała się chyba, że zapłaczę, że się załamie, że coś we mnie pęknie i że krzyknę, zacznę wrywać włosy, upadnę na kolana. Wiem, że tego się spodziewała, po cichu miała taką nadzieję.

– Dzisiaj o dziewiętnastej dwadzieścia lub dwadzieścia pięć. Tak, o dziewiętnastej dwadzieścia pięć. – Wybałuszyła oczy, które wyglądały jak szklane kulki. Z tymi szklistymi oczami i zapadłymi policzkami Jozefina przypominała starego chomika. Żeby nie miała tego haczykowatego nosa, naprawdę wyglądałaby jak stary ojciec chomik z dziecięcych książeczek z obrazkami, który, rozparty na fotelu, przy kominku, czyta bajki swoim małym chomiczkom.

– Na co? Na co zmarła? – zapytałam obojętnie, przesuając się do otomany naprzeciwko Jozefiny. Usiadłam powoli, jakbym próbowała usiąść na jajkach, i wyraźnie wyczułam sprężynę, która wbiła mi się w tyłek przez wytartą tkaninę.

Jozefina nagle się uspokoila, jakbym ją spoliczkowała.

– Wiesz, że miała cukrzycę i wysokie ciśnienie. To wiesz? – Wpatrzyła się we mnie tak, jakby chciała przebić mnie wzrokiem. Chociaż byłam świadoma, że widzi mnie jak przez mgłę, bo miała zaćmę, która od dawna narzucała jej obraz świata widziany jakby przez mleczne szkło.

Skinęłam głową. Wiedziałam o tym. Wiedziałam także, że mama nie przejmowała się zaleceniami lekarzy. Wysokie ciśnienie i cukrzyca zaskoczyły ją, gdy jeszcze chodziłam do szkoły. Najpierw obwiniałam o to wujka Antuna, który pewnego dnia zdecydował się wrócić martwy z Argentyny, a potem i tatę, który poddał się w bitwie przeciwko rakowi.

– Potem ją trafił udar. Udar mózgu. Jeden, drugi, a następnie i trzeci. Ostatni. Ten ją zabił. Tak mi powiedzieli. Dzisiaj po południu poszłam do niej z wizytą. Zabrałam jej sok. Ten gęsty z brzoskwiń. Marija lubiła brzoskwinie. I sok. Zabrałam też trochę pomarańczy. Pomarańcze są zdrowe. No i tyle. – Jozefina rozłożyła ręce, a ja patrzyłam na jej wysuszone palce, garbate niczym stare gałęzie. Zastanawiałam się, jak w ogóle może ruszać rękami. Wyglądała jak zmumifikowana, jakby jej ktoś na palcach naciągnął za dużą, wysuszoną, marszczącą się skórę. Domyślałam się, że teraz się rozgada, powie o najbardziej banalnych detalach, które nikogo nie interesują, ale ona chciała pokazać, że wszystko zauważa i wszystko pamięta. Dlatego westchnęłam, jakbym się poddawała losowi, jakbym straciła wszelką wolę i ochotę.

– Ale mnie nie wpuścili do pokoju. Byłam tam o siedemnastej. Tak, było około siedemnastej. Pora wizyt. Nie puścili mnie. Powiedzieli, że tego ranka Marija miała nowy udar, że jest nieprzytomna. Zapytałam ich, czy wszystko będzie w porządku. Powiedzieli, że tego nie wiedzą. – Jozefina popatrzyła

na Bogurodzicę z przejęciem i przeżegnała się. – Powiedziałam, że zostawię sok i pomarańcze i żeby jej to wszystko ładnie podali, gdy się obudzi. Siostra nie chciała tego wziąć. Powiedziała, że nie ma takiej potrzeby. Było to dla mnie co prawda trochę dziwne, ale jednak miałam nadzieję, że wszystko się dobrze skończy.

– Jak to trzeci? A kiedy miała dwa poprzednie? – Nie zwracałam uwagi na to obszerne opowiadanie o pomarańczach i gęstym soku. Przypomniało mi się, że jako dziecko myślałam, że te udary, o których cichutko przy stole kuchennym rozmawiano, są jak kamienie, które spadają z nieba i przypadkowo trafiają w ludzi bez względu na wiek i stan zdrowia. Przypomniało mi się, że przez ten udar u sąsiadki Stefki przez ponad tydzień nie odważyłam się wyjść z domu. Miałam pięć lat i nie chciałam, aby mnie skosił kamień, który trafił Stefkę na podwórku, gdy niosła do domu kosz ze ściągniętym ze sznurka praniem.

– Pierwszy trafił ją we śnie – westchnęła Jozefina, przewracając oczami. – Nawet nie wiedziała, co jej się stało, dopóki nie usiadła przed lustrem i nie zobaczyła, że usta ma wykrzywione, a lewą rękę jakby niesprawną. Ciągnęła trochę i lewą nogę. Miesiącami ciężko było jej mówić. Niektórych słów po prostu nie mogła wypowiedzieć. Martwiłam się o nią. Dlatego odwiedzałam ją codziennie. Mój Boże! – krzyknęła, przeżegnawszy się. – Ja, stara baba, odwiedzałam ją, młodą kobietę. A była młoda, ta twoja mama. Wiesz, dzięki Bogu, że wpadłam piętnaście dni temu. Mama leżała na podwórku, obok wiśni. Nie wiem, co tam robiła, może szła do szopy, żeby zabrać motykę do okopania ziemi wokół hiacyntów. Trafił ją drugi. Mocno ją trafił, fest. Już nie mogła mówić ani chodzić. Już mnie nie poznawała. Gdy ją zabrali do szpitala i gdy

poszłam ją odwiedzić, tylko patrzyła na mnie przerażona. Jakby się bała nieznannej jej kobiety. Wyglądała okropnie. To już nie była ona. Dlatego napisałam do ciebie. Musiałam, Katari-na. Musiałam cię wezwać, abyś przyjechała, żebyś jeszcze raz zobaczyła mamę.

Jozefina znowu zaczęła płakać, wściekle wycierając nos chusteczką, teraz już całkowicie mokrą, która kleiła jej się do palców.

– Powinnam była wcześniej do ciebie napisać – szlochała, a jej ciało drgało, jakby ją ktoś złapał za ramiona i niemiłosiernie nią potrząsał. – Nie widziałaś się z mamą. Spóźniłaś się. Moja вина.

Chciałam się do niej zbliżyć, uklęknąć obok fotela i przytulić. Kruchą i delikatną, taką bezradną. Za kilka dni pochowa ostatnią bliską jej osobę. Ale nie podeszłam. Tylko łagodnie patrzyłam na jej pomarszczoną twarz i oczy, które od słońch łez robiły się coraz bardziej czerwone.

– To nie twoja вина – wyszeptałam, jakbym zwracała się do ptaszka, którego nie chcę przestraszyć swoim głosem. – Taki jest los. Niczyja вина. Nikt nie wiedział – pocieszałam ją. W końcu wyciągnęłam rękę, wstałam z otomany i opuszkami palców dotknęłam jej kolana. Jozefina nagle wzdrygnęła się, podskoczyła i zaskoczona popatrzyła na mnie. Przestraszyłam się tego jej szarpnięcia, jak oparzona wycofałam rękę i upadłam na tyłek. Sprężyny zaskrzypiały pod moim ciężarem, jakby się cała otomana miała rozlecieć.

– Czas, jeszcze masz czas! – Patrzyła na mnie wzrokiem wypchanego ptaka, a ja tylko wzruszałam ramionami. – Słyszałam, że według nowych zasad umarłych zostawiają w łóżku szpitalnym nawet i sześć godzin. Masz jeszcze czas, aby ją zobaczyć! Która jest godzina?

Zupełnie nie rozumiałam, o czym ona mówi, więc popatrzyłam na zegarek. Była dwudziesta druga i kilka minut. I to jej powiedziałam.

– Masz czas! Pospiesz się, Kati, biegnij! Jeszcze możesz zobaczyć mamę! – Sapała tak, jakby truchtała razem ze mną, przebiegała przez skrzypiącą i przegniłą kładkę obok cukrowni, pod którą wloką się tłuste i śmierdzące lokomotywy. Chyba myślała, że jest to ostatnia szansa, abym zobaczyła mamę, która jeszcze wygląda jak żywa, jakby w każdej chwili mogła otworzyć oczy.

– Nie chcę – wymamrotałam.

Oczy Jozefiny prawie wyskoczyły z oczodołów. Już widziałam w wyobraźni, jak się toczą po linoleum, a potem płaczą się we frędzlach dywaników, które zimą grzały starą kobietę i chroniły ją od wilgoci. Ona chyba też wiedziała albo przynajmniej słyszała od innych, że martwi po wyjęciu z chłodni wyglądają zupełnie inaczej, obco. Że dokładnie po nich widać, że są puści wewnątrz jak nawiedzony, opuszczony przez lokatorów dom. Chciała mi chyba oszczędzić oglądania puste skorupy mamy. Nie wiedziała, że nie musi mnie żałować. Dla mnie mama zawsze była pustą skorupą.

– Nie chcę – powtórzyłam teraz już nieco łagodniejszym głosem. – Idę do domu. Muszę odpocząć. Jutro zadbam o wszystko.

Jozefina zapadła się w fotelu i położyła ręce na drewnianych oparciach. Nadal patrzyła na mnie wzrokiem wypchanego ptaka.

– Masz klucz?

Nie zareagowała.

– Masz klucz? Ja nie mam. Nie wiem, jak tam wejść, jeżeli ty też nie masz klucza. – Pytającym wzrokiem gapiłam się na nią. Tylko przytaknęła. Przez chwilę obie milczaliśmy, a wtedy ona zaczęła się podnosić. Gdy wstawiała, jej kolana zaskrzypiały,

jakby się miały rozlecieć. Doszła do mebli kuchennych, otworzyła szufladę i wyciągnęła z niej klucze w żółtawym etui.

Był to skajowy futerał, który należało przycisnąć z boku, aby wypadły klucze przymocowane do łańcuszka. Rozpoznałam to etui. Należało do mamy. Zawsze wiedziałam, kiedy mama stoi przed drzwiami. Dlatego, że brzęczało.

- Są – powiedziała tylko tyle i podała mi je.
- Idę.

Poszłam w stronę drzwi, minęłam Jozefinę pachnącą naftaliną i chwyciłam walizkę.

- Dziękuję ci, że mnie powiadomiłaś.

Wyszłam w całkowitą ciemność, do zdradliwego zimna, które wiosną, jeżeli nie ma chmur, gdy słońce się schowa, unosi się z ziemi do nieba. Nieruchome powietrze było nasączone zapachem hiacyntów. Po drodze nikogo nie spotkałam, ani żywej duszy. Tylko w oddali czekały psy i można było usłyszeć skrzypienie, jakby ktoś wyciągał ze starej studni ciężkie wiadro pełne wody. Dotarłam już do kładki nad torami, gdy dopadł mnie mocny, paniczny strach przed domem, pustym, zatęchłym, może nawet i zamieszkanym przez bezcielesnych ludzi, których babcia widywała przed śmiercią. Dlatego się odwróciłam i pobiegłam z powrotem do domu Jozefiny.

Jozefina, w białej, nocnej koszuli, z długimi, rozplecionymi i siwymi włosami, obmywała się przed pójściem do łóżka. Chciałam jej powiedzieć, że przypomina mi babcię, że wygląda prawie tak samo jak ona, gdyby tylko nie miała takiego wielkiego, orlego nosa. Nie powiedziałam jej tego, tylko się uśmiechnęłam.

- Boję się – wyjąkałam, wykrzywiając twarz w grymasie, który można było zrozumieć jako przeprosiny za to, że przeszkadzam.

- Czego się boisz?

– Domu. Boję się domu. Jest pusty. – Machałam rękami. Wstydziłam się, że jako trzydziestosześcioletnia kobieta nie potrafiłam pozbyć się dziecięcych lęków, głupiej paniki przed ciemnością i samotnością. – Czy mogłabyś, proszę, pójść ze mną? Spać w tamtym domu? Przynajmniej dzisiaj wieczorem. Czy możesz?

Kiwnęła głową i bez słowa wróciła do półmroku swojego pokoju. Weszłam do przedpokoju i czekałam, aż się z powrotem ubierze. Z pokoju docierał zapach mydła, które zamieniało wodę w misce w rozwodnione mleko. Długo jej zeszło, aby się naszykować i abyśmy mogły w końcu pójść. To mnie denerwowało, tak jak i jej utykanie i stękanie prawie przy każdym kroku. Narzekała na biodra i kolana.

– Ktoś powinien mi je posmarować – powtarzała, żartując. Chyba zdawała sobie sprawę, że denerwuje mnie jej powolność. Choć na początku milczałam.

Zanim Jozefina zrobiła krok i weszła na pierwszy stopień schodów kładki nad torami kolejowymi, krótko spojrzała na niebo. Zatrzymałam się, odstawiłam walizkę na ziemię. Już chciałam zaprotestować, że się zatrzymuje, ale ona wtedy westchnęła i powiedziała:

– Bóg spełnił jej życzenie. – Przeżegnała się mimochodem. – Chciała umrzeć w maju. Mówiła, że to najładniejszy miesiąc na śmierć. Bo burze już się skończyły, a kwiaty kwitną w pełni. Smutne jest chować zmarłych do wody, do błota i mułu... – Znowu westchnęła.

– Kto tak chciał? – zapytałam bezmyślnie.

– No Marija, twoja matka, ona tak chciała. Powiedziała mi, że chyba najgorsze ze wszystkiego było chować Antuna, twojego wujka, do tego błota. Był październik, pamiętasz? – Popatrzyła na mnie, jakby sprawdzała, czy nadążam.

Przytaknęłam głową.

– Powiedziałam jej, żeby nie gadała głupot. Powtarzałam, że dużo jeszcze przed nią i to ja najpierw pójdę do Boga po prawdę. A ona jakby wiedziała... Stepan żartował, że ja ich wszystkich pochowam... – westchnęła. Ponownie zaczęła płakać, jakby miała straszne wyrzuty sumienia z powodu czegoś, co zrobiła. Podeszłam do niej i ją pocałowałam. Prawie się przewróciłam o walizkę, zakłęłam. Jozefina znowu wytarła nos zamiast oczu i udała się w kierunku drewnianej kładki, która piszcziała i stękała pod naszymi stopami. Pośrodku kładki zaczęłam panikować, chciałam się położyć na brzuchu i zacząć pełzać do schodów po drugiej stronie. Bałam się, że deski pękną i że spadniemy w jeszcze głębszy mrok.

– Czy to jest bezpieczne? – wydusiłam w końcu z siebie. Nie odważyłam się ruszyć głową i popatrzeć na Jozefinę.

– Wydaje mi się, że tak. Ludzie tędy codziennie przechodzą. – Obojętnie wzruszyła ramionami, jakby ją to nie obchodziło. A ja pobiegłam do drugich schodów, gdzie poczekałam na ślimaczącą się Miłościwą. Wydawało mi się, że będę tak czekać na nią całą wieczność, więc sięgnęłam do kieszeni i wyciągnęłam paczkę papierosów. Chciałam zapalić jednego, ale rozmyśliłam się. Powoli, ale wyrównanym i upartym krokiem Jozefina w końcu dotarła do mnie. A potem, jakby schody były dla niej jakimś rodzajem skrzyżowania losów, znowu się zatrzymała, prawie się wyprostowała, na ile można było rozprostować zgarbione plecy, i głęboko westchnęła.

– Boże, czujesz zapach hiacyntów?! – Prawie krzyknęła, a jej głos niczym zardzewiałe gwoździe wbijał się w zgniłe deski kładki. – Marija tak bardzo lubiła hiacynty!

Nic nie powiedziałam. Sama się dziwiłam tej romantycznej stronie mamy. W mojej pamięci nie zapisało się żadne

nostalgiczne wspomnienie z nią związane. Pamiętałam tylko te jej maniakalne: *Wytrzymaj buty, tak do domu nie można!, Umyj ręce!, Nie siorb zupy!, Ty tak niedbale ubrana chcesz wyjść na dwór?* Tam, na szczycie schodów owianych ciemnością, przez chwilę starałam się jak wiertło wbić głębiej w przeszłość i tam znaleźć inną, bardziej miękka i delikatniejszą mamę, ale bez powodzenia. W uszach nadal dzwonił mi tylko jej przenikliwy głos pozbawiony wszelkich emocji. Powracały do mnie sceny, w których mama z jakimiś ścierkami, ze spoconym czołem i tłustymi włosami walczy o czysty dom i nieskazitelną rodzinę.

Z całkowitej ciemności w końcu przeszliśmy do porządnie oświetlonej ulicy Gupca. Jedną ręką ciągnęłam walizkę, drugą – Jozefinę, trzymając ją pod rękę. Powoli, kuśtykając, na rozklekotanych nogach, około wpół do jedenastej dotarliśmy i do mojej dawnej ulicy. Pachniała mchem. Dobrze pamiętałam ten zapach. Przypomniała mi się także pulchniutka i zawsze zarumieniona Snjeżana, z którą kiedyś, przeszło dwadzieścia pięć lat temu, skrobałam paznokciem mech pod rynną. Pomyślałam, że naprawdę celowo wymyślałam najbardziej brudne gry, żeby tylko zrobić mamie na złość. Po takich zabawach, wkurzona i purpurowa na twarzy, szorowała mi ręce szczoteczka i przeklinała przez zęby. Po cichu. Myślała, że nie słyszę, że przeklina jak szewc. Bo w naszym domu nie można było przeklinać. Przynajmniej nie głośno.

Ledwo wymacałam uchwyt, którym od wewnątrz zamykało się bramkę; dawno temu tata zamontował go tak, żeby byle kto nie mógł wejść na podwórko. Umiejscowiony był na samym wierzchu metalowej, pomalowanej na niebiesko furtki, więc tylko osoby dorosłe i do tego odpowiednio wysokie mogły sobie z nim poradzić. Przez ten uchwyt długo doprowadzałam matkę do szaleństwa, bo musiała mi za każdym razem

otwierać furtkę, gdy wracałam do domu. Gdzieś aż do szóstej klasy, dopóki wystarczająco nie urosłam.

Światło ulicznych latarni nie mogło przeskoczyć wysokiego, murowanego ogrodzenia podwórka, więc Miłościwa i ja znowu znalazłyśmy się w ciemności. Zatrzymałyśmy się przy furtce jak dwa nietoperze czekając, aż nasze oczy przyzwyczają się do zmiany oświetlenia, abyśmy się nie przewróciły na nierównej ścieżce. Podwórko pachniało trawą i wilgotną korą drzew owocowych. Jako dziecko zawsze sobie wyobrażałam, że się ze strachu pocą w ciemnościach. Nie udało mi się wywahać hiacyntów. Dlatego poszukałam w ciemności białej twarzy Jozefiny i zapytałam:

– Czy mama już więcej nie sadziła hiacyntów? – Nawet nie starałam się ukryć rozczarowania.

– Powiedziałaś ci, że była chora – odpowiedziała Jozefina prawie gniewnie. – Rano zobaczysz, jak teraz wygląda trawnik. Nie mogła go już kosić, a gdzie tam jeszcze sadzić jakieś kwiatki. Trawa wyrosła aż do kolan. Zobaczysz. Nawet drzewa owocowe nie są poprzycinane. Zobaczysz – powtarzała w kółko, jakby wygłaszała coś, co w tej ciemności nieodparcie przypominało jej Poego.

Kiedy w końcu dotarłyśmy do budynku, gdy przekręciłam klucz i otworzyłam drzwi wejściowe, przedpokój stanął przed nami jak czarny mur. Najciemniejsza gradacja ciemności, która z rogów obrazów Rembrandta rozlewała się w coś bardziej miękkiego. Zaśmiałam się. Ten krótki śmiech przypominał czkawkę małego dziecka.

– Co się stało? – zapytała zaskoczona Jozefina, gdy tak jak i ja gapiła się w ciemność. Absolutnie nic nie było widać, na pewno bym stąd uciekła, gdybym nie wiedziała, że włącznik jest po lewej stronie, tuż obok futryny drzwi.

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

